

Prolog

Anna Fisher siedziała samotnie w półmroku kokpitu promu kosmicznego Challenger, a nad nią za oknem kabiny rozpościerało się ciemne niebo. Ciasne pomieszczenie, często tętniące życiem, było tej nocy puste i ciche. Analogowe ekrany głównego panelu przyrządów wyświetlały jedynie szarość. Ściany i sufit wokół niej były pokryte tysiącami metalicznych przełączników, dźwigni i kolorowych przycisków – całkowicie nieruchomych.

Mimo ciemności spoglądała na te niewielkie urządzenia z uwagą, chcąc się upewnić, że są ustawione we właściwych pozycjach. Wszystkie przełączniki skonfigurowano w odpowiednich ustawieniach do porannego startu, kiedy prom kosmiczny odpali swoje trzy główne silniki, wytwarzające ponad dwa miliony kilogramów ciągu, i wystrzeli w niebo wraz z pięcioosobową załogą.

Anna, z wykształcenia doktor medycyny, ubrana w jaskrawoniebieski jednoczęściowy kombinezon lotniczy – standardowy ubiór astronautów NASA – wyciągnęła się na jednym z foteli kokpitu. Prom

był ustawiony na platformie pionowo, patrzyła więc z jego szczytu na linię brzegową środkowej Florydy. Znajdowała się na wysokości około osiemnastu pięter, chociaż w ciemności trudno było to tak precyzyjnie stwierdzić. Jedynym punktem odniesienia była nierealna poświata przenikająca z zewnątrz. Cały statek kosmiczny był skąpany w nierzeczywistym świetle lamp ksenonowych otaczających platformę startową. Sączyło się ono do środka kokpitu.

Anna mogła się tej nocy wydawać jedyną pasażerką kabiny, w rzeczywistości jednak miała towarzystwo. Wielka wypukłość jej brzucha napinała kombinezon, gdy tak leżała w ciemności. Jej córka Kristin, która miała przyjść na świat za miesiąc, także tu była. Widok ciężarnej astronautki w kokpicie wahadłowca to coś niezwykłego – Anna była zaledwie drugą ciężarną kobietą z korpusu astronautów w całej historii programu. Kilka dekad wcześniej coś takiego nie byłoby możliwe. Astronautami zostawali wyłącznie mężczyźni.

Tego wieczora miała proste zadanie: utrzymać *status quo*. Wcześniej tego samego dnia inni astronauta i personel pomocniczy przebywali w kokpicie, odpowiednio ustawiając ponad dwa tysiące przełączników i przycisków. Gdy zakończyli swoją pracę, Anna przejęła wachtę w kabinie. Musiała się upewnić, że żaden z przełączników nie został przypadkowo przestawiony, gdyż nawet taki mały błąd mógł spowodować zagrożenie dla startu. Anna nie miała lecieć tego ranka, ale i tak odgrywała kluczową rolę dla uniknięcia przerwy w odliczaniu. Nie było to zadanie chwalebne, lecz niezbędne.

Ponadto Annie bardzo się to podobało. Po pięciu latach niekiedy mocno wycieńczającego szkolenia to nocne zadanie było całkiem przyjemne. Stanowiło swoistą próbę generalną przed jej lotem kiedyś w przyszłości. Ponadto demonstrowała pełne zaangażowanie w pracę, udowadniając wszelkim potencjalnym wątpiącym, że jej ciąża nie wpływa na obowiązki astronautki. A przede wszystkim miała wkład w zapewnienie sukcesu planowanej misji, która miała stać się jedną z najbardziej przełomowych w historii NASA.

PROLOG

A była to noc 17 czerwca 1983 roku. Następnego dnia jej koleżanka – astronautka Sally Ride – miała zostać pierwszą Amerykanką w kosmosie.

Późne godziny nocne zmieniły się we wczesny poranek i Anna w końcu opuściła kokpit, aby zrobić miejsce dla załogi. Gdy wysiadła z Challenger'a, inżynierowie zaczęli pompować blisko dwa miliony litrów paliwa kriogenicznego do potężnego zewnętrznego zbiornika wahadłowca – pękatej pomarańczowej struktury przypiętej do jego brzucha. Płyny te, magazynowane w bardzo niskiej temperaturze, dobrano ze względu na ich zdolność do spalania się w chwili połączenia i przechowywano je w zbiorniku do chwili, w której miały się zetknąć i spowodować zapłon. W tym momencie statek zostałby dźwignięty i poniesiony w niebo. Olbrzymi zegar NASA, umieszczony na trawniku kilka kilometrów od platformy startowej, odliczał czas dokładnie do tego momentu.

Tymczasem kilka kilometrów dalej drobna brunetka z kręconymi włosami wyszła w mrok przedświtę przez drzwi z szarego metalu, prowadzące do kwater astronautów. W otoczeniu czterech męskich towarzyszy astrofizyczka Sally Ride, ubrana w jednoczęściowy jasnoniebieski kombinezon lotniczy, zeszła po rampie budynku, uśmiechając się i prawą ręką lekko machając na powitanie zgromadzonemu obok tłumowi fotografów. Na jej twarzy nie było widać żadnego śladu nerwowości. Śmiało szła przed siebie, po czym wraz z resztą załogi zniknęła za rogiem. Następnie cała piątka kolejno wspięła się do białego kampera marki Itasca Suncruiser RV, z brązowym pasem wymalowanym wzdłuż boków. Załodze towarzyszyło kilka osób, w tym George Abbey, dobrze zbudowany i ostrzyżony po wojskowemu mężczyzna w średnim wieku, ubrany w ciemny garnitur. George wybrał Sally i całą załogę do tej misji i towarzyszył astronautom w ostatnich chwilach przed ich wyrwaniem się z objęć ziemskiej grawitacji.

Gwiazdy wciąż jeszcze świeciły na niebie, gdy furgonetka pędziła pustą betonową drogą do swojego celu: platformy startowej LC-39A.

Z tego miejsca wyruszały także inne przełomowe misje. Stąd ponad dekadę wcześniej wystartowali na Księżyc Neil Armstrong, Buzz Aldrin i Michael Collins w monsturalnej rakiecie Saturn V. Teraz wyrzutnia była przygotowana do kolejnej historycznej wyprawy, która – zdaniem wielu osób – odbywała się o wiele za późno.

Kamper z astronautami zaparkował niecałe pięć kilometrów od platformy, tuż przed słynnym Centrum Kontroli Misji, szarawobiałym budynkiem o grubych betonowych ścianach i szerokich panoramicznych oknach spoglądających ukośnie w niebo. Od czasów Programu Apollo Centrum Kontroli Misji stanowiło główny węzeł monitorowania wszystkich załogowych misji kosmicznych wyruszających z przylądka Canaveral. Dziś było tak samo. Raz jeszcze, mimo wczesnych godzin porannych, placówka buzowała energią i nerwowym podnieceniem, gdy wszyscy w środku przygotowywali się do rozpoczęcia misji. Tutaj także wysiadł George Abbey. Życzył załodze udanego lotu i skierował się w stronę centrum. Furgonetka ruszyła dalej, w kierunku widniejącego w oddali kompleksu LC-39A.

George zajął swoje miejsce w sali startów Centrum Kontroli Misji, w której kilkuset pracowników przy szarych konsolach z uwagą wpatrywało się w ekrany. Nad nimi znajdowały się szerokie skośne okna, od czasu do czasu przyciągające ich wzrok. Za panoramicznymi oknami rozpościerał się widok na odległą platformę startową. Był to zapewne najlepszy możliwy widok na start z kompleksu LC-39A. Mógł z nim konkurować jedynie widok z dachu Centrum Kontroli Misji. I tam wkrótce miała się udać Anna, aby oglądać to widowisko.

Itasca Suncruiser RV w końcu dojechał do platformy startowej i Sally wysiadła. Wraz z całą załogą podeszła do olbrzymiego białocznego promu kosmicznego, triumfalnie wznoszącego się przed nimi. Dwie przypominające drapacze chmur rakiety na paliwo stałe wznosiły się niczym wieże, przyczepione do masywnego pomarańczowego zbiornika wahadłowca. Miały one zostać uruchomione podczas startu i zapewnić miliony kilogramów ciągu potrzebne

PROLOG

do oderwania załogi od ziemi. Stojąc przed w pełni zmontowanym wahadłowcem, Sally nie miała wrażenia, że ogląda nieruchomy statek, ale raczej monstrualne oddychające zwierzę. Ciekłe paliwo promy od czasu do czasu odparowywało na zewnątrz, niczym z czajnika. Przez to pojazd syczał i pojękiwał, jakby rzeczywiście był żywy. Sally z całych sił musiała koncentrować się na tym, by iść do przodu.

Pięcioosobowa załoga weszła do windy u podstawy wahadłowca, tym samym znajdując się we wnętrzu wielkiej metalowej konstrukcji serwisowej. Ktoś z załogi nacisnął przycisk, rozpoczynając wjazd na wysokość 60 metrów. Po dotarciu tam astronauta wyszli przez drzwi windy i przeszli długim łącznikiem zawieszonym w powietrzu Florydy. Na końcu korytarza znajdował się mały biały pokój, przez który przechodziło się prosto do otwartego kokpitu wahadłowca. Sally z załogą weszli do pokoju, w którym oczekiwali na nich technicy przygotowania do lotu. Sally włożyła czepkę i słuchawki komunikatora radiowego oraz hełm. Następnie wszyscy członkowie załogi po kolei weszli na pokład wahadłowca, gdzie zostali przypięci pasami do foteli na czas czekającej ich przejażdżki. Sally zajęła miejsce na fotelu bezpośrednio za pilotem i dowódcą, skąd podczas wznoszenia się wahadłowca miała widok na panele przyrządów i na okna. Siedziała w bezruchu, dopóki zespół zamykający nie przypiął jej do mocnego metalowego siedzenia.

Później czekała, leżąc na plecach, zupełnie jak Anna ostatniej nocy. Po przypięciu całej załogi zespół zamykający opuścił kokpit i zamknął właz. „O Boże, to się dzieje naprawdę” – pomyślała Sally.

Około szóstej trzydzieści rano gorące słońce Florydy wyjrzało zza horyzontu i zaczęło wspinać się wysoko ponad Atlantykiem. Promienie słoneczne dosięgły piaszczystych plaż i pełnych aligatorów mokradeł otaczających przylądek Canaveral oraz położony tu Ośrodek Lotów Kosmicznych NASA im. Johna F. Kennedy’ego – główne miejsce startów wahadłowców kosmicznych. W świetle poranka było widać tłumy ludzi obozujących pod namiotami i siedzących

na składanych krzesłach wzdłuż odcinków wybrzeża środkowej Florydy. Kolejne tysiące stały w oczekiwaniu przy drogach pobliskiego sennego nadmorskiego miasta Cocoa Beach, w szortach, bezrękawnikach i okularach przeciwsłonecznych dla ochrony przed bezlitosnym żarem. Kilku handlarzy sprzedawało T-shirty, a z ręcznych radiodbiorników dobiegała muzyka. Na całym wybrzeżu było słycać piosenkę *Mustang Sally*. Na jednym z miejscowych banków wywieszono transparent: „Leć, Sally Ride*! Koledzy, również możecie się zabrać!”

Nawet pół miliona osób mogło tego dnia obserwować start wahadłowca. Nie licząc oczywiście milionów widzów przed telewizorami. Wielu obserwatorów przyleciało lub przyjechało z bardzo daleka, pokonując setki kilometrów na skraj Stanów Zjednoczonych, aby obejrzeć ten start i być świadkami tworzenia historii.

Później tego samego poranka inna astronautka wyszła w blask słońca Florydy, kilka kilometrów od platformy startowej. Shannon Lucid znalazła spokojne miejsce na plaży w pobliżu ośrodka kosmicznego, daleko od tłumów, które nie miały przywileju wstępu na tereny należące do NASA. Poprzedniej nocy położyła się późno, także pracując we wnętrzu kokpitu *Challengera*, sprawdzając wszystkie przełączniki, które Anna monitorowała następnie aż do rana. Podczas tej misji Shannon i Anna były „krzyżowcami przylądka”. Była to nieformalna funkcja pełniona przez astronautów, którzy wspomagali daną misję. Anna była tym razem szefową krzyżowców. Jedną z zalet tej pracy była możliwość obejrzenia startu samotnie, z relatywnie pustej i spokojnej plaży. Tego ranka Shannon słyszała jedynie fale obmywające piaszczysty brzeg.

Nie przeszkadzało jej zbytnio, że nie siedzi tego ranka na miejscu Sally. Najważniejsze było dla niej to, że miała pracę. Fakt, że była to tak wyjątkowa i ambitna praca, jak zawód astronautki, miał

* Woryginalie „Ride, Sally Ride!”. Po angielsku *to ride* znaczy dosłownie „jedź” (przyp. tłum.).

PROLOG

znaczenie drugorzędne. Zanim dołączyła do NASA, napotykała wielkie trudności ze znalezieniem pracodawcy, który nie oceniałby jej przez pryzmat bycia kobietą i matką. Jednak program kosmiczny w końcu pozwolił jej być tym, kim się stała, i wykorzystać zdobytą wiedzę naukową w dziedzinie chemii. A dopóki mogła polecieć, nie miało znaczenia, czy będzie pierwsza. Shannon czekała, a zegar odliczał.

Stojąc pod otwartym niebem Florydy, Anna spojrzała na platformę ze szczytu Centrum Kontroli Misji. Wahadłowiec, który kilka godzin wcześniej wznosił się nad nią jak wieża, teraz wydawał się zaledwie punktem na horyzoncie, wystającym nad czubkami zielonych drzew porastających teren Centrum Lotów Kosmicznych im. Johna F. Kennedy'ego. Tymczasem na dachu zbierał się spory tłum. Tuż przy niej stał wysoki chudy astronauta o jasnorudych włosach: Steve Hawley, mąż Sally. Obok niego przystanęła Carolyn Huntoon, przyjaciółka i mentorka Sally z NASA, która przyjęła początkującą astronautkę pod swoje skrzydła, gdy ta dołączyła do programu kosmicznego. Wszyscy żywo rozmawiali, przekazując sobie wzajemnie niespokojną, buzującą energię i oczekując, aż odliczanie dojdzie do ostatnich sekwencji.

W miarę upływu kolejnych sekund tłum na dachu się powiększał. Pochodząca z Tennessee drobniutka Rhea Seddon o jasnych blond włosach, które ledwie dotykały jej ramion, podeszła do krawędzi. Ona także po raz pierwszy miała okazję obserwować start z tego miejsca. Rhea przyszła zobaczyć początek misji swojej koleżanki, paliła się jednak do tego, by niebawem zająć jej miejsce. Nie wiedziała, kiedy przyjdzie jej kolej, ale była gotowa. Rhea, z wykształcenia chirurg, dzieliła swój czas między pracę w pogotowiu ratunkowym w Houston i zadaniami technicznymi w agencji kosmicznej. Niecały rok wcześniej urodziła syna Paula i była pierwszą astronautką, która została matką. W głębi duszy czuła, że jest gotowa na macierzyństwo, pracę w zawodzie i udział w misji. Potrzebowała jedynie przydziału.

Być może gdzieś niedaleko Rhei stała Judy Resnik, opalona, o kruczoczarnych włosach, które okalały jej twarz obfitymi lokami. Mogła patrzeć na horyzont i na małe wahadłowce, marząc o chwili, gdy sama znajdzie się na miejscu Sally. A może oglądała start na ekranie telewizyjnym. Nie wiadomo dokładnie, gdzie była tego dnia. Ona sama jednak nie miała już wątpliwości w kwestii własnego lotu. W lutym w gabinecie George'a potwierdzono jej przydział. Miała zostać drugą po Sally Amerykanką w kosmosie. Sekundy mijały, a Judy wiedziała, że jej wielka chwila także się zbliża, nawet jeśli nie miała polecieć pierwsza. Nie miało to dla niej znaczenia. Chciała polecieć tak szybko, jak to możliwe. Lot oznaczał dla niej wolność, niezależność i cel – wszystko, czego szukała przez całe życie.

Wydawało się, że tego dnia na przylądku są wszyscy, brakowało jednak pewnej bardzo ważnej astronautki. Ponad trzy tysiące kilometrów dalej Kathy Sullivan nie obserwowała odliczania, zamiast tego przerabiając listę kontrolną przed nurkowaniem w Instytucie Oceanografii Scrippsów w San Diego w Kalifornii. Jako nieustrudzona eksploratorka i podróżniczka zawsze pragnęła odkrywać świat, niezależnie, czy z perspektywy głębin oceanu, czy z wysokości wahadłowca kosmicznego. Tę sesję nurkową zaplanowała specjalnie w celu zakończenia certyfikacji w nurkowaniu z akwalungiem na otwartych wodach. Następnego dnia miała wystąpienie na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego.

Był to dla niej wygodny sposób na uniknięcie uczestniczenia w starcie. Miała nadzieję, że to ona zostanie pierwszą Amerykanką w kosmosie. Gdy odmówiono jej tego zaszczytu, postanowiła przyjąć zaproszenie od uczelni w San Diego. Dzięki temu nie musiała sztucznie się uśmiechać, oglądając lot gdzieś na Florydzie lub w Houston. Miał to być pierwszy start wahadłowca, którego osobiste oglądanie sobie odpuściła. Nie wiedziała wówczas, że jej lot nie był tak odległy w czasie i że za nieco ponad rok także będzie tworzyć historię, choć nieco inaczej.

PROLOG

I chociaż tego dnia Sally, Judy, Kathy, Anna, Rhea i Shannon nie znajdowały się w tym samym miejscu, były ze sobą połączone w sposób, który miał scementować ich więź mimo odległości i upływu dekad. Były „Szóstką” – pierwszymi amerykańskimi kobietami wybranymi do korpusu astronautów NASA po tym, jak przez lata pokłady statków kosmicznych opuszczających Ziemię obsadzone były wyłącznie przez mężczyzn. W 1978 roku wybrano je do roli specjalistek misji i miały jako pierwsze Amerykanki zawędrować w pustkę kosmosu, otrzymując niezwykle przywilej ujrzenia krzywizny naszej planety. Miały wynosić na orbitę satelity i teleskopy, zmagać się z mikrogravitacją w kosmicznych skafandrach, obsługiwać zrobotyzowane ramię, spotykać się z prezydentami i królewskimi dygnitarzami, przemawiać do tysięcy entuzjastów eksploracji kosmosu i przecierać szlak dla licznych następczyń.

Chociaż już przez samo to, że zostały wybrane, wszystkie uzyskały status pionierek, jedna z nich musiała polecieć pierwsza, aby rozbić rozciągnięty nad krajem szklany sufit. Tą osobą została Sally Ride, dzięki czemu jej nazwisko zapisało się w historii obok Alana Sheparda, Johna Glenna i Neila Armstronga. Wybrano ją do przetarcia szlaku, zanim ktoś postanowił uczynić z niej ikonę feminizmu, wzór do naśladowania i bohaterkę piosenki Billy Joela. Miało to także nałożyć na jej barki brzemie, które przyjdzie jej dźwigać przez resztę życia.

Jej przydział nie był jednak na początku taki pewny. Równie dobrze mógł przypaść Judy, Annie lub pozostałym w kolejce. Wszystkie one były starannie przygotowane. Dopiero finalna decyzja George’a Abbeya i kierownictwa NASA przypieczętowała losy „Szóstki”, stawiając na czele Sally. Kolejne przydziały misji miały nieodwracalnie zmienić życie ich wszystkich, prowadząc do spełnienia marzeń, historycznych przełomów i do niewyobrażalnej tragedii.

Brzemienne w skutkach skinienie głową George’a spowodowało, że chwilę po siódmej trzydzieści 18 czerwca 1983 roku Sally leżała na plecach wewnątrz kokpitu wahadłowca Challenger. Patrzyła

THE SIX

przed siebie, myśląc o pracy, która na nią czekała, i o tym, jak bardzo chciała dobrze ją wykonać. Po trzech godzinach spędzonych w tej pozycji na twardym szarym metalowym fotelu usłyszała w słuchawkach odliczanie kontrolera, które miało wszystko zmienić.

– Czas minus dziesięć. Dziewięć. Osiem. Siedem. Sześć. Zgoda na uruchomienie głównego silnika. Mamy uruchomienie głównego silnika. Zapłon...